

# Wstęp

Ból oczu zaczyna się za niewidzialną dziś granicą. Można ruszyć na przykład z Görlitz. Zadbana starówka, odrestaurowane kamienice. Z wysokiego brzegu Nysy widać już Polskę. Prowadzi tam drewniany most Przyjaźni. Tuż za nim biało-czerwony słupek i zrujnowana kamienica. Na niej wymalowany wołami napis: „Zigaretten”. Podobno mieszkańcy Zgorzelca wybierający się na niemiecką stronę mówią, że „idą na stare miasto”. Mieszkańcy Görlitz zmierzający w przeciwnym kierunku mówią po prostu, że idą do Polski.

Ten ból nie pojawia się nagle, przychodzi powoli, narasta stopniowo. Na początku nie trzeba się go bać. W pewnym momencie staje się jednak nie do zniesienia. Budzi irytację, złość. Żeby sobie z nim poradzić, można zamknąć oczy i przypomnieć, że już za chwilę zniknie zupełnie. Gdy pojawi się obojętność na to, co dookoła, będziemy wiedzieli, że jesteśmy już u siebie.

Że jesteśmy w domu.

Nie pamiętam lekcji plastyki z podstawówki. Z każdym innym przedmiotem mam związane jakieś wspomnienia. Pamiętam słoje z preparatami w pracowni biologicznej i szparę między zębami rządzącej nimi nauczycielki. Pamiętam polonistkę i jej wzruszenie, gdy czytała nam niektóre wiersze Herberta. Pamiętam szaloną nauczycielkę geografii, która po wpisaniu pały do zeszytu rzucała nim przez całą klasę, aż na sam koniec. Trzeba było iść i go podnieść, wysłuchując jej krzyków. Pamiętam nawet, co gotowałem na zajęciach praktyczno-technicznych.

Ale za nic na świecie nie mogę sobie przypomnieć, co działo się na plastyce.

Tłumaczę sobie, że to dlatego żyjemy w takim brzydkim kraju. Pewnie gdyby nas mocniej przycisnąć, umielibyśmy powiedzieć coś na temat mitozy i mejozy. A przynajmniej udałoby się nam przyporządkować te pojęcia do odpowiedniej pracowni w naszej podstawówce. Ja jednak nie umiem sobie przypomnieć nawet tego, jak wyglądały drzwi do pracowni plastycznej w mojej szkole. A może takiej po prostu nie było?

Blisko pięćdziesiąt lat szarości PRL-u też mogłoby wiele wyjaśniać. Ale to nie tak. Wystarczy spojrzeć na plakaty z tamtych czasów, porozmawiać z architektami, obejrzyć stare zdjęcia. Może i było to wszystko siermiężne, zgrzebne i byle jakie. Ale nie było kiczowate. Świat nie jest aż tak czarno-biały, by wszystko, co złe, zrzucać na tamtą szarość.

Eksperyment z bólem oczu będzie można powtarzać u nas jeszcze przez lata. Będziemy wsiadać do samochodu gdzieś w Niemczech i ruszać na wschód. Albo gdzieś w Czechach, by skierować się na północ. Po minięciu niewidzialnej granicy poczujemy lekkie ukłucie, lecz pojedziemy dalej. Ból będzie narastał, ale przecież wiemy, że w końcu minie. Jakos go oswoimy.

We wstępie do pierwszego wydania tej książki napisałem, że jej temat nie jest ważny. Nadal tak uważam. Politycy umieszczają go na szarym końcu listy obietnic wyborczych. Przeszkadza w robieniu interesów przedsiębiorcom. Nie rozpala umysłów. Można zapytać przechodnia na ulicy: „Nie przeszkadza to panu?“, i pokazać palcem. Człowiek machnie ręką:

– Nie, nie przeszkadza. Mogłoby być trochę ładniejsze, ale ja się na tym nie znam – odpowie, a w gorszym wypadku rzuci: – Ludzie nie mają czego do garnka włożyć, a wy się bzdurami zajmujecie.

Odbyłem dziesiątki takich rozmów. Od tamtego wydania *Wanny z kolumnadą* minęło siedem lat. Trochę się jednak w tym czasie zmieniło. Mamy w końcu ustawę krajobrazową, której tak wyczekiwał Marcin Rutkiewicz, jeden z bohaterów tekstu *Jesteś tylko spojrzeniem*. Mamy też prężne ruchy miejskie, które domagają się harmonii i ładu przestrzennego w polskich miastach. Mamy całą masę architektonicznych ikon. Ale mamy i specustawę mieszkaniową, która pozwala deweloperom budować swoje osiedla gdzie popadnie i bez uwzględniania miejscowych



planów zagospodarowania przestrzennego. I mamy ukryte w ziemi bliźny po prawie trzech milionach drzew, które wycięto w Polsce w ciągu kilku zaledwie miesięcy obowiązywania znowelizowanej ustawy o ochronie przyrody zwanej „lex Szyszko”. Tym wszystkim zmianom – na lepsze i na gorsze – zostały poświęcone uzupełnienia poszczególnych tekstów, a także nowe reportaże, które zamieszczamy w tym wydaniu. *Wanna z kolumnadą* z roku 2020 jest prawie dwa razy dłuższa niż ta z 2013. Przybyło tematów, wątków i ciągów dalszych. Cała ta nowa-stara opowieść kończy się zaś reportażem o problemie polskiej przestrzeni, którego w ogóle nie widać, za to bardzo dobrze słyhać. Do bólu oczu dołączył ból uszu.

Co jednak najistotniejsze – temat tej książki nie był ważny, nie jest i prawdopodobnie już nigdy nie będzie. Skala wyzwań, przed jakimi wkrótce staniemy w związku z katastrofą ekologiczną – przede wszystkim konsekwencjami przegrzania klimatu – sprawi, że zagadnienie harmonii w polskiej przestrzeni zejdzie na jeszcze dalszy plan. Przynajmniej w tych aspektach, które dotyczą wyłącznie estetyki. Miastom, gminom i władzom centralnym, a także samym obywatelkom i obywatelom nie wystarczy energii na walkę ze szpetnymi reklamami i pstrokatymi elewacjami w czasach, w których trzeba się będzie zastanawiać nad zapewnieniem wszystkim wody czy elektryczności. Prawdopodobnie nie będziemy mieli już szansy żyć w estetycznych, zadbanych miastach. Czego nie udało nam się załatwić w ciągu tych ostatnich lat rosnącego dostatku, już pewnie załatwić się nie uda. Będą o wiele pilniejsze sprawy i wydatki. Ale nie znaczy to, że zaprzepaściliśmy szansę życia w miastach w jakimś sensie lepszych – takich, które są dostosowane do potrzeb ludzi, a nie samochodów; w miastach, w których zieleni przybywa, a nie ubywa, i w miastach, w których rozwiązania przestrzenne budują wspólnotę, a nie ją niszczą. O te sprawy cały czas warto walczyć, konieczność adaptacji do galopujących zmian klimatu stwarza szansę na wprowadzenie progresywnych rozwiązań w polskich miastach. Możemy to jeszcze zrobić, choć błędy, które popełniliśmy w ciągu ostatnich trzech dekad, sprawiają, że nie będzie to proste zadanie.

(2013–2020)

# Wycinanka

## Atlas drzew: klon

Jeszcze dobrze nie wysiadł z samochodu, a już go zmroziło:

– Wytniemy i możecie zaczynać – powiedzieli.

Wojtek już to kiedyś słyszał. Właściwie to słyszy to regularnie. Przyjeżdża, ogląda działkę. Teren jest ładny, rośnie tam nawet dorodne drzewo – dajmy na to, klon. Nie że staruszek, ale wystarczająco dorosły, by się nim zachwycić (niektórym do zachwyty wystarczy mniej; mniej, jak wiadomo, czasem znaczy więcej).

– Ale co wytniecie? – pyta w takich sytuacjach.

– No to drzewo, żeby nie przeszkadzało – odpowiada klient albo szef robót.

– Rozumiem, wytniecie to drzewo – Wojtek już wie, w środku jakiej rozmowy się znalazł. – A co by pan chciał w tym ogrodzie? Co my tu mamy panu zaprojektować?

– No nie wiem, może jakieś tuje? Żeby ładnie było.

Ta rozmowa zawsze wygląda trochę inaczej, ale jej meritum pozostaje niezmiennie. Wojtek Januszczuk jest architektem krajobrazu nie od wczoraj i jest pewien, że nigdy nie przestanie się dziwić.

Gdyby przestał, musiałby zmienić zawód.

## Wyspa

– Powinniśmy się spotkać przed świtem – mówi mi Wojciech Szymański. – To wtedy najłatwiej poczuć wyspę.

A ja, głupi, umówiłem się z nim w samym sercu wyspy, ale w samym środku dnia. Chciałem najpierw porozmawiać, a potem przejechać rowem przez wypróżnione upałem śródmieście. Liczyłem na opowieść o tym, co nas czeka w przyszłości. Ale on właśnie zbił mnie z tropu.

Szymalski jest prezesem Instytutu na rzecz Ekorozwoju i szefem projektu Adaptcity. Realizująca go grupa ekspertów od 2014 roku badała obecne i przyszłe konsekwencje katastrofy klimatycznej dotyczące Warszawę. Na podstawie tych badań powstała stołeczna strategia adaptacji do zmian klimatu. W lipcu 2019 roku uchwalili ją miejscy radni. Odtąd władze miasta będą musiały brać ją pod uwagę przy opracowywaniu dokumentów planistycznych czy budżetów. Co więcej, przy rozpatrywaniu każdej większej inwestycji będą musiały uwzględniać, czy wpisuje się w strategię klimatyczną miasta. Trudno o to przy kolejnej wycince drzew pod parking czy budowie szerszej ulicy kosztem pasa zieleni; łatwiej w przypadku wykupu przez miasto gruntów pod założenie parku.

Mówiąc o wyspie, Szymalski ma na myśli miejską wyspę ciepła, zjawisko, które dotyczy niemal każdego większego miasta w Polsce (ze względu na nadmorskie położenie wolne od niego jest Trójmiasto). Mechanizm jest prosty. W ciepłe dni zalane betonem i gęsto zabudowane kwartały nagrzewają się intensywniej niż tereny zielone. Obecność drzew umożliwia obieg wody, a gdzie jest woda, tam jest po prostu chłodniej. Brak drzew wzmacnia nagrzewanie, swoje dokładają sztuczne źródła ciepła, takie jak klimatyzatory, silniki samochodów, tramwajów i autobusów czy karoserie pojazdów, które stoją zaparkowane na chodnikach. Zwartą zabudowa dodatkowo uniemożliwia cyrkulację powietrza. Wszystko to podnosi jego temperaturę.

Zarys warszawskiej wyspy ciepła wyłania się z map przygotowanych przez Adaptcity. Są one dostępne na stronie internetowej stołecznego magistratu. Widać na nich wyraźnie, że wyspa ma dwa bieguny ciepła, obszary zaznaczone przez badaczy kolorem ciemnowiśniowym. Pierwszy z nich znajduje się w miejscu mojego spotkania z Szymalskim – na bliskiej Woli, w rejonie ulic Siennej, Żelaznej i Twardej. Ten drugi najgorętszy skraj leży osiem kilometrów na wschód, na Grochowie. Wyspa wpływa na życie i zdrowie ludzi, infrastrukturę i koszty utrzymania miasta. Wymusza stawianie na ulicach kurtyn wodnych dla mieszkańców

## **Wycinanka**

oraz chłodzenie wewnątrz szpitali, urzędów i innych ważnych budynków użyteczności publicznej. Od temperatury zależy też stan tramwajowych torowisk. Szyny kładzione na kamiennym podłożu bardziej się nagrzewają i w rezultacie łatwiej wypaczają. Trawiaste torowiska są odporniejsze na wysokie temperatury, ale tych jest w Warszawie stosunkowo niewiele.